



## Osiem dni w WOT: raport ze szkolenia żołnierzy rezerwy

Opracowała: Maria Stefanowska

Publikacja fundacji Stratpoints  
Warszawa, 2026

Rezerwy wojskowe to w Polsce temat, o którym mówi się dużo, ale wie się niewiele. Padają odważne deklaracje o półmilionowej armii, choć demografia od lat mówi coś zupełnie innego. Jedni chcieliby, żeby Siły Zbrojne przypominały model fiński — oparty na powszechnym przeszkoleniu, silnych rezerwach i obronie totalnej — inni, żeby wszystko „jakoś działało”. Tymczasem rzeczywistość jest bardziej przyziemna. Tekst powstał w oparciu o informacje przekazane przez żołnierzy uczestniczących w ćwiczeniach.

Ośmiodniowe szkolenie żołnierzy rezerwy w batalionie obrony terytorialnej pokazuje, że między ambicjami a praktyką rozciąga się przestrzeń, której nie da się zasypać samymi deklaracjami. To nie jest opowieść o heroizmie ani o wojskowym romantyzmie. To raczej chłodny opis miejsca, w którym system zderza się z człowiekiem — i w którym widać, że liczby z konferencji prasowych nie zawsze mają wiele wspólnego z realnymi możliwościami państwa.

Pierwszy dzień zaczął się typowo: przyjazd, dokumenty, śniadanie. Zupa mleczna z parówką i musztardą oraz czarna herbata. Po posiłku ruszyli do magazynu, gdzie szybko okazało się, że wcześniejsze przymiarki w WCR były stratą czasu. Wszystko zaczęło się od nowa: „A jaki Pan nosi rozmiar?”. Na plus można było zapisać stan wyposażenia. Wydano im ubranie ochronne typu Gore-Tex, mundury polowe, buty, pantofle kąpielowe, czapki zimowe, rękawice, piżamy, zasobniki piechoty górskiej, ręczniki, skarpety, berety, pasy oraz bieliznę pamiętającą niejednego rezerwistę, ale w zaskakująco dobrym stanie. W polskich realiach to już coś — a nawet więcej niż wielu z nich się spodziewało.

Transport do jednostki odbył się autokarami, które bardziej przypominały wyjazd integracyjny niż wojskowy konwój. Na miejscu klimat wyjazdu pozostał. Czekają na nich kontenerowe miasteczko. Czterooosobowe kontenery nie szczyły luksusem, ale zapewniały ogrzewanie elektryczne i klimatyzacje bez pilota. Obok stały kontenery sanitarne oraz jeden socjalny, w którym można było napić się kawy, herbaty i po prostu złapać chwilę oddechu.

Warunki były proste, lecz funkcjonalne. Rytm dnia był typowy: pobudka po szóstej, śniadanie o siódmej, obiad około południa, kolacja o siedemnastej, rozliczenie o 21:30. W nocy robiło się chłodno, ale nie na tyle, by stało się to problemem. Podział kwaterunkowy według stopni zachowano — oficerowie osobno, podoficerowie osobno, szeregowi osobno — choć standard wszędzie był identyczny.

Do kontenerów zostali przydzieleni praktycznie przypadkowo. W jednej kompanii znaleźli się oficerowie z misji w Afganistanie, podoficerowie z wieloletnią praktyką, szeregowi, którzy ostatni raz widzieli mundur dwie dekady temu, oraz rezerwista, który składał przysięgę jeszcze

w PRL. To nie była różnorodność — to było losowanie. Szkolenie takiej grupy przypominało próbę jednoczesnego uczenia studentów politechniki, licealistów i osób, które dopiero co przypomniły sobie, że istnieje tabliczka mnożenia. Można to robić, ale efekty będą nikłe.

Drugiego dnia wydano im broń — karabinki Grot C16 FB M1, czyli standardowy karabinek Sił Zbrojnych RP kalibru 5,56 mm. To konstrukcja lekka, ergonomiczna i stosunkowo prosta w obsłudze. Dla wielu była to pierwsza styczność z tym modelem. Instruktorzy przeprowadzili szkolenie z zasad bezpieczeństwa, przerwania ognia i podstawowych procedur.

Blok dotyczący łączności obejmował obsługę radiostacji, zasady korespondencji, alfabet fonetyczny NATO oraz meldunek SALUTE. Każdy musiał samodzielnie nadać meldunek przez radio. Ćwiczenie było proste, ale przydatne — w wojsku nie wygrywa ten, kto najgłośniej krzyczy, tylko ten, kto potrafi przekazać informację jasno i precyzyjnie.

Jednostka dysponowała dużym terenem zielonym, więc większość zajęć odbywała się na miejscu. Przerabiali RKO, zakładanie stazy taktycznej, znaki i sygnały, przekraczanie drogi metodą kropelkową, reakcję na kontakt ogniowy, wycofywanie taktyczne w sekcjach Alfa i Bravo, okrężną po kontakcie i bez kontaktu oraz meldunek SAS. Jak na ośmiodniowe szkolenie i tak zróżnicowaną grupę — poszło zaskakująco dobrze. Instruktorzy przyznawali, że nie spodziewali się takiego tempa. Co ciekawe, największą determinację wykazywali ci, którzy pamiętali zasadniczą służbę wojskową. Dla nich wojsko nie było szesnastodniową przygodą, lecz wielomiesięcznym doświadczeniem.

Przed wyjazdem na strzelnicę ćwiczyli postawy strzeleckie i poruszanie się z bronią. Na miejscu powtarzano ładowanie magazynków, konserwację broni i podstawy medycyny pola walki. Powtarzalność mogła wyglądać na chaos organizacyjny, ale równie dobrze mogła być metodą — w wojsku nawyki buduje się właśnie przez powtarzanie. Strzelali na 20 metrów, ogniem pojedynczym. Każdy oddał 60 strzałów.

Taktykę czarną ćwiczyli w warunkach improwizowanych — obrys budynku wyznaczono z opon. Wyglądało to raczej jak poligonowa prowizorka niż element szkolenia przygotowującego do współczesnych działań w terenie zurbanizowanym. Instruktorzy robili jednak, co mogli. Wykazali się cierpliwością i profesjonalizmem, odpowiadając nawet na pytania zaczynające się od klasycznego: „A czy nie lepiej tylko wrzucić granat...”.

Problem polegał na czymś innym: brakowało elementów, które definiują dzisiejsze pole walki. Nie było dronów, nie było pracy z obrazem z powietrza, nie było symulacji zagrożeń, które w realnym konflikcie pojawiają się szybciej, niż żołnierz zdąży powiedzieć „kontakt”.

Tym bardziej kontrastował oficjalny opis z wojsko-polskie.pl, według którego sekcja lekkiej piechoty, zwana „Wspaniałą Dwunastką”, to „zespół dwunastu Terytorialsów, z których każdy specjalizuje się określonymi kompetencjami czyniąc sekcję kompleksową”. Brzmiało to jak broszura reklamowa, nie jak opis realiów współczesnej wojny. Zwłaszcza, że dokładnie taki szyk patrolowy — pełną dwunastkę ustawioną w klasyczną „szachownicę” — ćwiczyli na zajęciach. Na papierze wygląda to efektownie, ale w praktyce jest dużym, łatwym do wykrycia celem. W realiach współczesnej wojny tak duże, zwarte szyki są raczej prezentem dla przeciwnika niż elementem sensownej taktyki.

Dziś standardem jest minimalizacja sygnatury pododdziału: podział na małe, trzy- do pięcioosobowe zespoły, ograniczenie prowadzenia łączności, by nie zostawiać śladu elektromagnetycznego oraz działanie w sposób maksymalnie rozproszony. Instruktorzy sami o tym wspomnieli. Jak podkreślali: „Nasze podręczniki tego jeszcze nie przewidują, więc uczymy was zgodnie z wytycznymi, ale pamiętajcie: to tak już nie wygląda”.

Stołówka znajdowała się na terenie jednostki, ale obowiązywał zakaz wnoszenia broni. Efekt? Jeden rezerwista pilnujący kilkudziesięciu karabinków leżących na ziemi przed wejściem. Regulamin swoje, zdrowy rozsądek swoje. W Polsce często wygrywa regulamin.

Nie obyło się bez zgrzytów. Wulgarny język jednego z poruczników nie przystoi oficerowi, tym bardziej jeśli mówimy o członku kadry, który powinien dawać przykład. Musztrowanie oficerów przez szeregowych również nie powinno mieć miejsca — hierarchia w wojsku istnieje z jakiegoś powodu i nie jest dekoracją. Wydanie jednego prześcieradła zamiast dwóch to drobiazg, ale drobiazg symboliczny. Białe mieli zdać dzień wcześniej, „bo tak”. Nie zabrakło jednak szczerości: „Teraz już wiecie, czego nie ma, więc następnym razem każdy przywiezie śpiwór i to, czego brakuje”. Trudno o bardziej trafny komentarz do stanu logistyki — instruktorzy nie udawali, że wszystko działa, po prostu przyznawali, że trzeba sobie radzić samemu.

Największym problemem był jednak dobór rezerwistów. Wielu miało przydziały mobilizacyjne kompletnie niezwiązane z WOT. Niektórzy byli specjalistami lotniczymi, którzy nigdy nie powinni trafić na takie szkolenie. To pokazywało, że w WCR wciąż obowiązuje zasada „sztuka jest sztuka”, a nie realne potrzeby armii.

Na koniec warto dodać jedno zastrzeżenie. Instruktorzy dali z siebie wszystko i w wielu momentach to właśnie ich zaangażowanie ratowało sens całego przedsięwzięcia. Łańcuch jest tak silny, jak jego najsłabsze ogniwo — a jeśli chcemy mieć armię, która działa, musimy dążyć do udoskonalenia systemu. Część danych została celowo zmieniona. Nie chodzi bowiem o to, aby kogokolwiek ukarać czy rozliczyć, lecz o ogólne wnioski z tego doświadczenia. Bo tylko z takich wniosków może wyniknąć coś, co naprawdę ma znaczenie.

Całość szkolenia można ocenić na czwórkę. Problem nie leży w tym jednym szkoleniu, lecz w systemie. System wysyła ludzi przypadkowych, niedopasowanych kompetencyjnie i nieprzygotowanych do roli, którą mają pełnić. I tu pojawia się pytanie, które padło pod koniec szkolenia: czy to było jednorazowe wydarzenie, czy początek cyklu? A jeśli będzie kontynuacja — to w jakiej grupie się spotkają? Bo szkolenie ma sens tylko wtedy, gdy pododdział działa jak zgrana drużyna. Tyle że trudno mówić o drużynie, skoro już na początku zostali dobrani w sposób przypominający losowanie. Na te pytania nie udało się znaleźć odpowiedzi. Jak sami instruktorzy przyznali — na te pytania nawet WCR nie zna odpowiedzi. I to chyba najlepsze podsumowanie stanu, w którym znajdują się dziś polskie rezerwy.



## | PUBLIKACJE

Publikacja fundacji Stratpoints objęta jest prawami autorskimi.

Celem uzyskania licencji na cytowanie artykułu we fragmentach lub publikacji całości prosimy o kontakt: [publikacje@stratpoints.eu](mailto:publikacje@stratpoints.eu)

[www.stratpoints.eu](http://www.stratpoints.eu)